

NOWA POWIEŚĆ AUTORKI BESTSELLEROWEGO *SZYFRU SZEKSPIRA*

Jennifer Lee
Carrell



Wciąż

mnie

prześladują...

Świat Książki

Wciąż
mnie
prześladują...



Jennifer Lee
Carrell

Wciąż

mnie

prześladują...

Z angielskiego przetłóżył
Andrzej Grabowski


Świat Książki

Tytuł oryginału
HAUNT ME STILL

Redaktor prowadzący
Elżbieta Kobusińska

Redakcja merytoryczna
Miroslaw Grabowski

Redakcja techniczna
Julita Czachorowska

Korekta
Grażyna Henel
Irena Kulczycka

Copyright © 2010 by Jennifer Lee Carrell
All rights reserved including the right of reproduction
in whole or in part in any form.
This edition published by arrangement with Dutton,
a member of Penguin Group (USA) Inc.

Copyright © for the Polish translation by Świat Książki, 2011
Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2010

Świat Książki
Warszawa 2011
Świat Książki Sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych - jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-247-2443-7
Nr 45068

SPIS TREŚCI

PROLOG

NÓŻ

LAS

INTERLUDIUM

LUSTRO

INTERLUDIUM

KOCIOŁ

INTERLUDIUM

BEZIMIENNE DZIEŁO

INTERLUDIUM

EPILOG

OD AUTORKI

OD TŁUMACZA

Johnny'emu



Z głębin otchłani duchy mogą wołać.

*I ja to mogę, i lada kto może,
Ale czy przyjdą na twoje wołanie?*

William Szekspir

Kdy szkody żadnej nie ma, czyń, co chcesz.

Ławica Wiccańska (czyli Rada Czarownic)

PROLOG

Listopad 1606
Pałac Hampton Court

☞ Otulony zielononiebieską aksamitną szatą ze złotymi aplikacjami, chłopiec w koronie królowej na głowie przysypiał na tronie ustawionym niemal na środku Wielkiej Sali, tuż za granicą światła. Nazajutrz miał tu zasiąść król. Nie aktor grający króla, lecz król prawdziwy, Jego Wysokość Jakub I Angielski i VI Szkocki. Dziś jednak potrzebny był ktoś z aktorskiej trupy, by zasiąść na tronie i zobaczyć to, co miał ujrzeć monarcha: nową szkocką sztukę imć Szekspira, w której lała się krew, a więdźmy sprawowały obrzęd bezimiennego zła.

Zgłosił się chłopiec, który nie występował w tej scenie. Ale tego mroźnego listopadowego wieczoru próba nie wiadomo dlaczego mocno się opóźniła. W nieogrzewanej sali zrobiło się prawie tak zimno jak na okrytych szadzią podwórcach. Ciężka szata zapewniała jednak dość ciepła, więc chłopcu, któremu dłużyły się mijające godziny, oczy same się kleiły.

O ozdobioną gobelinem ścianę poza kręgiem światła pochodni oświetlającej scenę opierał się chudy jak ofiara kłęski głodu, posiwiał żoźnierz w wyswiechtanym skózanym kaftanie. On też chyba drzemał.

Aż w końcu w ćmiącym świetle coś się poruszyło. Ustawiony pośrodku sali kociołek otoczyły trzy postacie w czerni. Ich głośy stopiły się w monotony zaśpiew, ni to jęk, ni syk.

– „Co tam stwarzacie?” – wychrypiał aktor grający króla, kiedy wszedł i potoczył przerażonym wzrokiem.

Odpowiedziało mu rozchodzące się echem zawrođenje, podobne do niemal ludzkiego wycia wiatru albo głośu niespokojnych dusz zmarłych, szukających wejścia pod okapem dachu:

– „Bezimiennie dzieło!”

Wkrótce potem w krąg światła wbiegła gromadka zjawiskowo pięknych dzieci, sunąc jedno za drugim przed tronem. Pochód zamykało najmniejsze, niosące zwierciadło.

Chłopiec zajmujący miejsce króla na tronie usiadł prosto.

Stojący pod ścianą stary żołnierz, ledwie widoczny w ciemnościach za sceną, odemknął oczy.

Po kilku chwilach chłopiec zsunął się z tronu i znikł w mroku w głębi sali. Żołnierz ruszył za nim jak niedopasowany cień.



Służący Roberta Cecila, earla Salisbury, obudził swojego pana nad ranem. Zdwojony blask świec wydobył zza jego pleców majaczące twarze dwóch przyszłów. Jednemu czarne włosy wiek przyprószył siwizną, drugi wchodził w najlepsze męskie lata. Dwaj Howardowie – earl Northampton i jego bratanek earl Suffolk – mieli podobnie zadowolone miny.

Salisbury natychmiast otrząsnął się ze snu. Nie znał przyczyny ich zadowolenia o tak wczesnej porze, lecz jego niepokój budziło wszystko, co zdarzyło się w pałacu bez jego wiedzy. Zwłaszcza gdy oni maczali w tym palce, sygnalizowało to bowiem niebezpieczeństwo.

– Chodzi o chłopca, milordzie – rzekł służący, dyskretnie odkaszłując.

– Chłopca z trupy aktorskiej – uściślił Suffolk.

– Zaginął – rozanielił się Northampton. – Takoz i zwierciadło.

Howardowie wiedzą, gdzie on jest – pomyślał Salisbury, wzdychając w duchu.

– Obudź doktora Dee – polecił słudze i usiadł z bólem, świadom, że Northampton utkwiał wzrok w jego garbie. – I sprowadź dowódcę warty.

Kiedy dowódca się stawił, Salisbury wydał mu rozkaz:

– Znajdźcie go.

Pół godziny później pokuśtykał na koślawych stopach w stronę przedpokoju przed Wielką Salą, przy każdym kroku pomny wysokich, wyprostowanych sylwetek Howardów kroczących u jego boków. Nie lubił mieć z nimi do czynienia, zwłaszcza z Northamptonem. Niski i zdeformowany, pedantycznie

dbały o wygląd i strój, Salisbury chłodnym, trafnym okiem szukał u innych nade wszystko talentów, które potem odpowiednio wykorzystywał. Jednakże w Howardach było coś, co go mroziło. Na ich widok, niezależnie od pogody, miał ochotę wejść do najbliższego różanego ogrodu i pozbyć się trudno wyczuwalnego odoru. Czasem musiał jednak z nimi współpracować, gdyż król uległ czarowi Northamptona. Tak właśnie było w przypadku niesmacznej sprawy z chłopcem. Kiedy w grę wchodziło bezpieczeństwo króla, Salisbury gotów był wykorzystać każdego, ale używanie dzieci jako przynęty nie sprawiało mu przyjemności.

Czekającemu na nich doktorowi Dee, odzianemu w ciemną szatę, trzęsła się z oburzenia długa biała broda.

– Mówiliście, panowie, że trzymacie tu chłopca i zwierciadło dla ich bezpieczeństwa – zaatakował.

Salisbury westchnął. Nie dla ich bezpieczeństwa. Dla bezpieczeństwa króla. I królestwa. Czemu człowiek bez wątpienia tak błyskotliwy jak doktor nie potrafił dokonać takiego rozróżnienia?

Earl nie za bardzo wierzył w magiczne zwierciadła, wywoływanie duchów i temu podobne. Lecz na wszelki wypadek trzymał rękę na pulsie, śledząc poczynania czarowników królestwa, wśród których rej wodził John Dee. Czarnoksiężnik ten, przewyższający innych biegłością w matematyce i sztuce nawigacji, oddał jego ojcu i starej królowej cenne przysługi w dziedzinie kryptologii. Nawet jeśli tylko drobna cząstka twierdzeń tego starca o przywoływaniu aniołów lub przemienianiu metali ciężkich w złoto miała okazać się prawdą, warto było go rozszyfrować.

Kiedy więc jakiś czas temu Dee przybiegł do niego z szaloną opowieścią o krwi i ogniu, jakie ukazało wróżebne kamienne lustro, Salisbury wysłuchał jej z powagą, która wielce poruszyła i ukontentowała maga, a potem osobiście wypytał chłopca, który ponoć doświadczył owego widzenia. Salisbury miał przewagę nad doktorem, iż wiedział o planach katolickich renegatów, przemierzających się do wysadzenia w powietrze Parlamentu, a wraz z nim króla.

Ku niezadowoleniu doktora zatrzymał chłopca, który przewidział nie tylko spisek prochowy, lecz także pojawienie się tajemnicznej kobiety z nożem. Zatrzymał też zwierciadło, w którym chłopcu ukazały się wspomniane wizje.

Działo się to rok temu. Spisek prochowy – czego Salisbury był pewien od

samego początku – nie doszedł do skutku. Spiskowców schwytano. Niektórzy zginęli na miejscu, innych stracono w majestacie surowego prawa. Na wolności pozostała tylko jedna osoba – ktoś wpływowy, kto w jego mniemaniu od początku kierował spiskiem, lecz kogo tożsamości nie udało się ustalić. Ktoś z możliwych, kto korzystając z zamętu, zamierzał przejąć ster władzy. Ktoś z pewnością nadskakujący codziennie monarsze, na którego życie dybał.

Salisbury oczywiście założył, że jest to mężczyzna, ale wizja rudowłosej, ciemnookiej kobiety dzierżącej nóż z wygrawerowanym napisem, którego chłopiec nie zdołał odczytać, dała mu do myślenia. Gdyby wierzył w duchy, orzekłby, że chłopiec ujrzał starą królową Elżbietę. Jednakże wróg, którego tropił, z pewnością pozostał wśród żywych. Krew starej królowej płynęła w innych żyłach – rozcieńczona, to pewne, ale jednak. Na dworze nietrudno było napotkać kobiety o rudozłotych włosach, zdradzających, że są z rodu Tudorów i Plantagenetów. Kobiety o takiej proveniencji należały także do rozproszonego po świecie królewskiego rodu Stuartów.

W rodach królewskich ognisty błysk we włosach szedł nierzadko w parze z makiaweliczną bezwzględnością, przy której niebezpieczni Howardowie wydawali się niewinnymi kociętami. To dlatego Plantageneci, Tudorzy i Stuartowie zajmowali przez wieki trony – pomyślał z goryczą Salisbury – natomiast Howardowie stracili jedyne księstwo, jakim mogli się poszczycić, jeśli nie liczyć dwóch królowych, których koronowane głowy ściał Henryk VIII. Tudorzy i Stuartowie wydali silne, budzące respekt kobiety, wśród których wyróżniała się królowa Elżbieta oraz jej kuzynka, matka obecnego króla, Maria, królowa Szkotów. Czemu więc przywódczynią spisku nie miałyby być kobieta?

Być może działająca w zмовie z nieznanym dotąd mężczyzną.

Dlatego Salisbury przedsięwziął kroki, których celem było rozpoznanie jej twarzy. Wynajdywał dla chłopca rozmaite zajęcia na dworze. Niestety, taki dzieciuch miał niewiele okazji do obserwowania ukradkiem wielkich dam i nie spotkał tamtego widziadła. W końcu nowa sztuka imć Szekspira podsunęła earlowi pomysł o włączeniu chłopca do trupy Sług Jego Królewskiej Mości, aby pod tym pretekstem mógł z dogodnej pozycji obserwować dworaków otaczających króla. Wymagało to skorzystania z usług Suffolka, lorda szambelana, odpowiadającego za sprawy organizacyjne w królewskim pałacu, w tym za wszelkie pałacowe rozrywki. Ale sztukę teatralną zawierającą wątek spis-

ków na życie króla Salisbury zamówił osobiście, z pominięciem Howardów. Oczywiście nie tylko chłopiec miał rozglądać się po widowni i śledzić reakcję publiczności, jednak wyłącznie on jeden mógł zidentyfikować kobietę z wizji.

Niestety, w przeddzień przedstawienia ten mały błazen gdzieś przepadł. Gdyby nie Howardowie, Salisbury spokojnie spałby dalej, uznając, że gałgan zakradł się do kuchni i podjada desery. A tak ze znużeniem słuchał tupotu wartowników przeszkukających pałac.

Godzinę później dowódca straży biegiem stawił się przed jego obliczem.

– Coś znaleźliśmy, milordzie – zameldował zdyszany. Ale na pytanie, co to takiego, potrząsał głową. – Najlepiej będzie, panie, jeśli osobiście to zobaczysz.

Pomaszerowali długimi krętymi korytarzami do najstarszej części pałacu, zatrzymując się przed komnatą, która w spisie lorda szambelana była zaznaczona jako niezamieszкана, a jednak ktoś zarygłował ją od środka. Co dziwniejsze, kilku wartowników przysięgało, że z owego korytarza, w którym reszta pokoi była otwarta i pusta, usłyszeli nieludzki krzyk. W oddechach tych dorosłych bez wyjątku mężczyzn królewski sekretarz wyczuł strach.

– Rozbijcie drzwi – rozkazał, świadom, z jakim napięciem rozwoju wypadków oczekują Howardowie.

W ruch poszły siekiery. Hampton Court zbudowano solidnie. Z przeraźliwym jękiem rozrywanego drewna drzwi pękły na pół, wartownicy odsunęli się i puścili wielmożów przodem.

Od progu było widać, że komnata w rzeczy samej jest niezamieszкана – podłogi nie wyścielało sitowie, na ścianach nie wisały gobeliny, a wolnej przestrzeni nie wypełniały meble. Ktoś jednak niedawno rozniecił ogień w palenisku i pozwolił mu wygasnąć. W powietrzu unosił się jeszcze lekki aromat jakiejś potrawy czy rosółu, który tu gotowano. W tej pustce oko zatrzymywało się na leżącym na kamiennej posadzce przed kominkiem ciele, przykrytym ciężką zielononiebieską szatą.

Doktor Dee skoczył naprzód, wydobyl z fałdy aksamitu skrawek ciemności, a potem precyzyjnymi palcami uniósł w górę wypolerowany kamienny krążek – zaginione zwierciadło. Potarł je rękawem i wejrzał w jego głębie.

– I cóż widać? – spytał Suffolk, nachylając się ku wiekowemu magowi z niestosowną gorliwością

Doktor Dee podniósł załzawione, podpuchnięte oczy i potrząsnął głową.
– Zasłonił je ciemnym welon. – Wstrząsnął nim dreszcz. – To zwierciadło
widziało coś złego.

Chłopiec nie żyje – pomyślał Salisbury. Żeby to stwierdzić, nie potrzeba
magii!

Z irytacją szarpnął szatę i odrzucił na bok.

Stojący obok Suffolk i Northampton nienaturalnie znieruchomieli. Na-
tychmiast ukryli zaskoczenie. Zwiedliby każdego, ale nie Salisbury'ego, po-
trafiącego nie tylko czytać w cudzych myślach, lecz także wyprzedzać nawet
ich bieg. Dlatego niektórzy szeptali, że to on, a nie doktor Dee, podporząd-
kował sobie nieznane duchy. Teraz czuł, jak pod maską obrzydzenia budzi się
w nim chytra ciekawość, wypełniając żyły i ścięgna. Nie tego oczekiwali Ho-
wardowie.

U ich stóp spoczywało w dziwnej pozycji związane nagie ciało. Nie nale-
żało jednak do chłopca.

NÓŻ



*Jestli to sztylet, co przed sobą widzę,
Ze zwróconą ku mej dłoni rękojeścią?*

I

Październik 2006

Szkocja

☞ Oto najstarsza z pokus. Nie władza, nie złoto, za które ją kupisz, nie miłość ani nawet głębokie, trawiące duszę płomienie żądz. Tym, czego pragniemy najbardziej, jest wiedza. Ale nie każda wiedza. Pragniemy wiedzy zakazanej, nieśmiertelnej, uwodzicielskiej i zdradliwej niczym błędny ognik migocący jak nieziemski owoc wśród ciemnych gałęzi.

Taką przynajmniej opowieść podsuwa Księga Rodzaju. Oczywiście nie wierzę we wszystko, co mówi Pismo Święte. Ale to dobra opowieść, a ja lubię opowieści. A poza tym niezależnie od tego, czy wiedza jest najstarszą z pokus, jest niewątpliwie pokusą najniebezpieczniejszą. Urzekającą w dawnym, pełnym sensie tego słowa. Na to mogę przysiąc. Urzekła także mnie i zwiabiła na krawędź przepaści, bliżej, niż byłam gotowa przyznać.

W moim przypadku wabikiem był głos, niski, melodyjny. Tak to w każdym razie zapamiętałam. Wciąż ją widzę: podchodzi do wysokiego okna, odsuwa jasnyniebieskie haftowane zasłony z chińskimi smokami i otwiera oba skrzydła na chłód szkockiej nocy. Do pokoju wpada ostry zapach sosen, jedwab drga, smoki zdają się wic i ją oplatać.

Wiekową, bardzo bladą twarz dobiegającej siedemdziesiątki lady Nairn pokrywała siateczka zmarszczek delikatnych jak chińska porcelana. Skąpana w księżycowym blasku, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie żakietu, ze zwiewnym szalem na szyi i ściągniętymi w elegancki kok francuski włosami barwy najbledszego złota, stara dama zdawała się świecić własnym światłem.

– To jedno z Sidlows – powiedziała w zadumie, patrząc przez okno na wzgórze dominujące w krajobrazie. Wzgórze osobne, dziwnego kształtu, ze szczytem jak wieża. – Pochodzące od staroangielskiego *blaew* słowo *law*